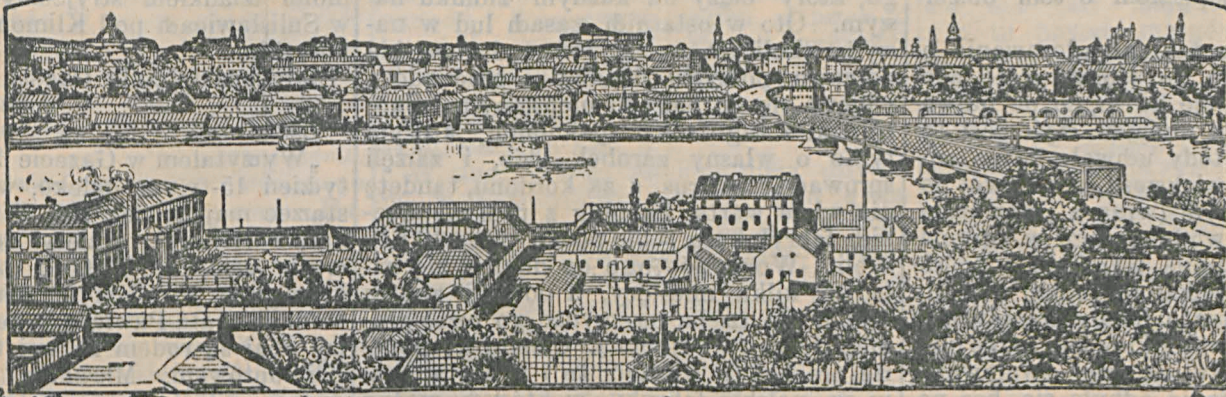


GAZETA ŚWIĄTECZNA



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELE

DZIA 22 MAJA 1904 roku.

9

Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
" pół roku	1 rubel	" pół roku	1 r. i 50 k.
" ćwierć roku	pół rubla	" ćwierć roku	75 k.

Předpłatę na Gazetę Świąteczną wysłać należy do KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, Plac Tzedn Kżyży (gdzie kościół Ś. Aleksandra), 11.

Numer pojedynczy Gazety kopiej. 5, z przesyłką k. 7.

Utworky wykończane w Gazecie S. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca: na stronie ósmej po 50 k.; na str. dalszych po 25 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Prawomocność uchwał gminnych i gromadzkich.

(Ciąg ósmy.)

Jeśli dwóch albo więcej ludzi zrobi czyli zawrze między sobą umowę, to ta ich umowa staje się dla nich prawem. Każdy z tych ludzi obowiązany jest spełniać to, co stoi powiedziane czy napisane w umowie, do której on sam dobrowolnie przystał. Kto zaś dobrowolnie umowy nie spełni, tego drudzy mogą nawet przed sąd pozwać, a wtenczas sprawa będzie rozsządana według téjże umowy, akuratnie tak, jak inne sprawy sądzą według ustaw od najwyższej władzy nadanych i zapomocą druku w księgach praw ogłoszonych.

Tylko, rozumie się, aby umowa taką moc miała, musi ona być dokładnie i jasno ułożona, napisana, i przez wszystkich robiących ją podpisana. Przytém musi to być umowa co do rzeczy godziwych i przez prawo niezabronionych, niezakazanych. Choćby jacy ludzie zawarli ze sobą umowę naprzykład o popelnianie kradzieży lub innego szelmostwa lub bezprawia, to taka umowa dla nikogo prawem nie jest. Wobec sądów też niema ona znaczenia, chyba tylko to jedno, iż mogą pociągnąć do odpowiedzialności i ukarania tych, którzy w występnych zamiarach umowę zawarli.

Wszelka jednak godziwa umowa, — potwazamy, — jest prawem dla tych wszystkich, którzy ją dobrowolnie zawarli.

Tak samo prawem staje się prawdziwa uchwała gromadzka dla gromady, to jest dla mieszkańców wioski lub miasteczka, a uchwała gminna dla całej gminy. Każda taka uchwała ma nawet moc większą od umowy. Boć jest ona prawem nie tylko dla tych, którzy ją zrobili, którzy dobrowolnie na nią się zgodzili, ale dla wszystkich w gminie lub w gromadzie. Może ona stać się prawem nawet dla takich, którzy na nią nie zgadzali się, nie chcą jej i przeciwko niej dawali głosy. Zeby uchwała stanęła i stała się prawem dla całej gromady lub gminy, na to niepotrzeba zgody wszystkich, tylko potze-

ba dobrowolnej zgody większej części gospodarzy w téj gromadzie, czy gminie.

Ba! przy ciemnocie i niedbalstwie ludzi może bardzo łatwo zdazać się tak, że prawem stanie się dla gminy i gromady nie to nawet, czego chciała, na co się zgadzała większa część, ale to, na co zgadzała się część mniejsza, i o wiele mniejsza, bo zaledwo ćwierć gospodarzy mających prawo bywać na wiecach gminnych. Wszak wiadomo już wszystkim czytelnikom Gazety Świątecznej, że w wielu rzeczach wiec ma prawo uchwały stanowić, gdy się zgromadzi choć połowa gospodarzy ze wsi lub gminy; uchwała zaś takiego wiecu może stać się ważną już wtedy, gdy choć połowa tych zgromadzonych, razem z wójtem czy z sołtysem, da na nią głosy. W tym razie druga, przeciwna połowa zgromadzonych zostaje zwyciężona głosem przewodniczącego na wiecu. Ci zaś wszyscy gospodarze, którzy na wiec nie przyszli, nie liczą się już wcale. Bo choć ich jest w gminie albo w gromadzie jeszcze aż drugie tyle, co zgromadzonych na wiecu, lecz ich się uważa za obojętnych, niedbalców, którym wszystkim jedno, czy będzie tak, czy owak. Za oznakę i dowód ich obojętności lub niedbalstwa bieżę się to, że na wiec nie przyszli, w obradach i głosowaniu uczestniczyć nie chcieli.

Gmina ma, naprzykład, 400 (czterystu) gospodarzy, samych właścicieli majątków ziemskich, zawierających nie mniej niż po trzy morgi obszaru. Wszyscy ci czterystu mają prawo w wiecu uczestniczyć, słuchać i przemawiać, ganić i chwalić, na jedno głos dawać, a drugiemu się sprzeciwiać. Lecz zgromadzi się i wiecuje tylko połowa, 200 (dwustu) gospodarzy; a wtedy na jakąś sprawę zgodzi się tylko 100 (stu) ludzi z wójtem, — i oto uchwała zrobiona, nowe prawo dla całej gminy gotowe. Oóż dziwnego, jeśli później, już po czasie, gmina się przekonywa, że uchwała jest dla niej niedogodna, szkodliwa, i większa część gospodarzy jej złoczy.

Aby się to nie zdazało, niech ludzie lepiej o swoje własne i społeczne dobro dbają. Precz z obojętnością i niedbalstwem! Kto ma prawo w wiecu radzić i głosować, niech na nim bywa, i pilnie na wszystko baczy. Sąsiedzi też niech do takiej samej pilności i bacności sąsiadów

zachęcają. Wójt zaś i sołtysi niech zetelnie wszystkich zawczasu powiadamiają, kiedy, którego dnia i o której godzinie wiec ma się odbyć, i jakie na nim sprawy mają być wniesione pod obrady i pod głosowanie.

Z tego, cośmy już pisali i przytaczali, widać, czego potrzeba, żeby uchwały wiecu gminnego lub gromadzkiego były prawomocne, to znaczy: żeby stawały się dla gminy lub gromady prawem, do którego wszyscy tam stosować się są obowiązani. Mnóstwo jednak ludzi, mających nawet wyższą naukę szkolną, i takich też, którzy ta sprawa szczególnie obchodzi, nie zdaje z niej sobie jasno sprawy. Wielu z nich przypuszcza nawet, że uchwała gminna ani gromadzka, choćby najprawniej zrobiona, nie ma sama przez się żadnej mocy, i dopiero téj mocy nabiera, gdy zostanie przez jakąś wyższą władzę zatwierdzona. Wypada więc dokładniej rozpoznać, kiedy, w jakich wypadkach, uchwała jest zrobiona prawnie, kiedy staje się sama przez się prawomocną, a kiedy znowu do jej prawomocności potrzebne jest jeszcze zatwierdzenie.

Aby jakkolwiek uchwała mogła być prawomocna, pierwszym warunkiem jest, — żeby ją zrobiono prawnie: zarówno według osobnych przepisów prawa umyślnie na to wydanych, jako też i powszechnych, wszędzie na całym świecie przyjętych prawideł, które się same przez się rozumieją.

Jeśli potrzeba, żeby wiec się zgromadził, uradził coś i uchwałił, czyli postanowił, to się rozumie i powszechne prawidło jest takie, że:

1) wiecownicy czyli ludzie mający prawo bywania i głosowania na wiecu, winni być zawczasu zwołani, czyli wszyscy zetelnie zawiadomieni, którego dnia i o której godzinie zgromadzenie ma się odbyć, i jakie przedewszystkiém sprawy na niem mają być przedstawione, rozważane i oddane pod głosowanie, czyli do uchwalenia albo odzucenia;

2) sprawy, o które idzie, muszą być na wiecu jasno, dokładnie przedstawiane, i przez zgromadzonych rozpoznane, omawiane, rozważane;

3) po dokładném wyrozumieniu rzeczy winno odbyć się dokładne i zetelne, bez

żadnego zamętu, bez szacherki i oszukaństwa — głosowanie. Każdy ze zgromadzonych wiecowników winien jasno wypowiedzieć, albo jakimś znakiem pokazać swój głos: czy się zgadza, czy się nie zgadza, albo kogo wybiera; głosy zaś wszystkich powinny być zretelnie i starannie policzone. Jak głosy dawać i obliczać należy, kiedyindziej pisałem o tém obszernie.

Dopiero gdy z takiego głosowania okaże się napewno, że większa część wiecowników zgadza się na to, co do uchwalenia wniesiono, a mniejsza część jest temu przeciwna, wtedy uchwała będzie zrobiona. Jeśli zaś większość, ani nawet połowa zgromadzonych (wraz z przeważającym głosem przewodniczącego w zgromadzeniu) nie oznajmiła wyraźnie i dobrowolnie, że się zgadza, to żadnej uchwały niema. Niema też uchwały naprawdę i wtedy, jeśli nie wszystkich, lecz tylko niektórych gospodarzy na wiec zwoływano, albo jeśli głosowanie odbyło się bez należącego wyrozumienia zeczy.

Oprócz tych trzech, są jeszcze inne warunki prawomocności uchwały w przepisach prawa zastępowane, jako to:

1) Uchwały mogą być robione tylko w takich sprawach, które prawo oddało w zawiadywanie wiecom gminnym lub gromadzkim. Sprawy te, na które rozciąga się moc tych zgromadzeń, wyliczone są w Gazecie Świątecznej z dwóch poprzednich tygodni. (Przepisy 9, 17 i 105 ustawy gminnej, a 199, 209 i 272 urządzeń w guberniach Królestwa Polskiego w Ogólnym Zbiorze Praw.)

2) Mogą też te uchwały robić tylko wiece gminne lub gromadzkie odbywające się w obecności odpowiedniego wójta lub sołtysa i przynajmniej połowy gospodarzy mających prawo głosowania w gminie lub gromadzie.

Są to już wszystkie główne warunki prawomocności większej części uchwał stanowiących przez gminy i gromady.

Mniejsza zaś tylko część uchwał, dla ich prawomocności, musi być zrobiona z zachowaniem jeszcze jednego warunku i iść do zatwierdzenia władz wyższych. O tych niektórych uchwałach, jako też o sposobie uchylenia czyli kasowania uchwał gminnych i gromadzkich zrobionych nieprawie, bez zachowania wyłączonej już wyżej głównych warunków prawomocności, napiszę w dalszym ciągu.

Konrad Prószyński, pisarz G. Ś.

NOWINY.

Do właścicieli fabryk krajowych.

Zamieszczamy tu list jednego z naszych czytelników z okolic Kaźdida w gubernji łomżyńskiej, aby dozedł do wiadomości wszystkich fabryk narzędzi rolniczych w kraju i pobudził je do przysłania nam odpowiedzi i uwag w poruszonyj tu sprawie:

„Proszę upzejmie pana pisarza Gazety Świątecznej o pośrednictwo w sprawie porozumienia się z fabrykami narzędzi rolniczych: Wolskiego, Zawadzkiego, Suchenięgo i innymi, jakie są w kraju. Chciałbym spólnie z niezlicznym gronem sąsiadów sprowadzać narzędzia rolnicze na użytek nie tylko własny, ale i całej okolicy, mianowicie: pługi jednoskobowe, parokonne i jednokonne, radła czyli obsypniki, grabie, widły, kosy i tym podobne. Chcielibyśmy wszystko to sprowadzać, o ile można, nie ze składów, nie z żadnej spółki, ale wprost z fabryki, i nie mniej jak po 10 lub po 12 każdego narzędzia. Upraszamy więc Pisarza Gazety naszej o porozumienie się z właścicielami fabryk i po-

wiadomienie nas listowne, albo przez tęż gazetę, po jakiej cenie i na jakich warunkach narzędzia te możemy dostawać, czy za opłatą należności zgóry, czy też na spłaty, co dla nas byłoby o wiele pożądaniejsze.

Nie chodzi nam tu o zyski. Poczujemy się tylko do obowiązku obywatelskiego, który ciąży na każdym ziomku naszym. Oto w ostatnich czasach lud w naszych okolicach zaczął pozucac narzędzia domowe pomysłu dziadów i pradziadów, i bierze się do narzędzi ulepszonych. Skorzystali z tego różni spekulanci, którym tylko o własny zarobek idzie, i zaczęli sprowadzać z Prus, z za kordonu, tandetę nie wiele wartą. Za pług z tych niemieckich fabryk każą sobie płacić tu po 10 i 12 rubli. Wprawdzie oze on dobrze, ale za ledwo kilka miesięcy, a później znówu kłopot, bo trzeba przemycać go przez granicę do kowala Niemca. Ciemni gospodarze nie chcą tu wiezyć, że i u nas w kraju są polskie fabryki, w których można dostać pługi w niższym nieustępującym niemieckim, a o wiele tańsze. Ale jakże mają temu wiezyć, gdy tych pługów naszych nigdzie tu nie widują? Toć i w pożytek łubinu wtenczas dopiero uwiezył ciemny człowiek, kiedy zobaczył u sąsiada na przyorany łubinie doskonale żyto; wtenczas uwiezył w dobroć ptazyńca, kiedy sąsiad nakosił z łąk doskonałej paszy; wtedy też uwiezy w dobroć pługa wyrobu krajowego, gdy spróbuje nim orać na sąsiedzkim zagonie. Więc chcielibyśmy zapobiedz wyzyskowi uprzedzenia ludzkiego przez spekulantów, a zarazem poprzec fabryki swych braci, rodaków.

Kurp' Piotr Kaczyński.

Głód po wsiach, potrzeba ratunku. Z okolicy Łysych gór, od Bodzetyna i Suchedniowa, pisze do nas jeden czytelnik:

Żyto u nas na suchych polach średnie, na mokrych liche; pszenica średnia. Zasiwy wiosenne ukończone. Niektórzy gospodarze zasieli znacznie mniej, niż w roku zeszłym, a są tacy, co wcale nic nie sieli, ani nie sadzili, bo nie mają nasienia. Ci biedacy i jeść nie mają co. I zarobków tu teraz tak mało, że kto dawniej mógł zarobić pół rubla, to teraz ledwo złotówkę zarobi. Jednym słowem, bieda w naszej okolicy. Ludzie chorują po wsiach na duzyć (tyfus). Chodzą też całymi gromadami głodni od fabryki do fabryki, błagając o jakąkolwiek robotę. A tego przednówka jeszcze przeszło dwa miesiące.

Jan K.

Na okręcie pancernym Petropawłowski, zatopionym dnia 13 kwietnia pod Portem Artura, znajdował się między innymi Mieczysław Trembecki, czytelnik i przedpłatnik naszej Gazety Świątecznej. W spisie uratowanych jego nazwiska nie znaleźliśmy, prawdopodobnie więc i on zginął w strasnym wypadku. Polecamy jego duszę pamięci i modłom pobożnych społeczeństw Gazety.

Mamy też kilku przedpłatników Gazety w 11-tym i 12-tym pułkach wschodniosybirskich, które tak srode w bitwie nad rzeką Jalu ucierpiały. Ich losy nie są nam jeszcze znane.

Długowieczni Bonarkowie.

Podając niedawno w Gazecie wiadomość o niezwykłym starcu na obczyźnie zapomnianym, byliśmy ciekawi, czy też się kto z jego krewnych znajdzie i odezwie. Aż oto otrzymujemy nie jeden, lecz dwa listy w tej sprawie:

List pierwszy:

„W Gazecie Świątecznej 1214-ój jest nowina pod nagłówkiem „Wiekowi”, w któ-

réj p. Bieńkiewicz opowiada o 104-letnim Wincentym Bonarku, mieszkającym w Karkarach w Azji. Otóż jestem wnukiem tego Bonarka, o którym teraz dopiero z Gazety się dowiedziałem. A razéj jestem wnukiem jego starszego brata, Andrzeja, który żyje dotąd i ma już 110 lat. Chciałbym bardzo porozumiec się z owym moim dziadkiem stryjecznym. Mieszkam w Sulisławicach pod Klimontowem sandomierskim.

Stały przedpłatnik Gazety Świątecznej
Jakubczak, tawnik.”

List drugi:

„Wyczytałem w Gazecie Świątecznej na tydzień 15-ty, że daleko, w Azji, mieszka stazec mający lat 104, Wincenty po Adami Bonarek, wzięty do wojska jeszcze w roku 1836. Otóż ja jestem wnukiem jego, a rodzonym wnukiem jego rozonego brata Pawła, a synem Józefa, którzy obaj są rodem ze wsi Smerdyny pod Klimontowem. Mieszkam we wsi Nawodziech. Jest nas po Józefie Bonarku dwóch braci: ja i Karol. Dziadek nasz i ojciec już nie żyją. Proszę o umieszczenie tej wiadomości w Gazecie, a może ona dojdzie w ten daleki kraj, i biedny staruszek dowie się, że żyją potomkowie jego brata. Radbym do niego napisać, ale nie mam dobrego adresu.”
Tomasz Bonarek.”

Mamy nadzieję, że ta Gazeta dojdzie do Wincentego Bonarka. A może też narzecie biedny tułacz, odnalazszy rodzinę, wróci choć w drugim wieku życia w swe strony.

Ze spółki Rościszewskiej pod Sierpcem, w gubernji plockiej. O zawiązaniu się tej spółki pisano już w Gazecie 1213-ój. Teraz otrzymaliśmy o niej list, z którego wyjmujemy słowa następujące:

Na dlubę zarządu spółki Rościszewskiej trzeba przyznać, że pierwsze kroki jego działalności były bardzo odpowiednie i szczęśliwe. Zarząd zakupił dla spółników owsa w dobrym gatunku i dobrze oczyszczonego po 3 ruble kozec, kiedy za lichy i źle oczyszczony trzeba było płacić w tymże czasie w Sierpcu na targu najmniej po 22 złote. Kupiono też kilkadziesiąt worków kazy jaglanej; jest ona bardzo smaczna i miękka po ugotowaniu, a wypadła uczestnikom spółki po 9 złotych pud, gdy handlarze w miasteczku taką samą kasę sprzedają najtaniej po 11 złotych. Wreszcie sprowadziliśmy sobie spólnie nasion z „Ogrodnika Polskiego”. Nie wyrokując dziś jeszcze przedwcześnie o dobroci tych nasion, zaznaczymy tylko, żeśmy zaoszczędzili na każdym funcie po 10 lub więcej kopiejek, bo za nasiona sprowadzone w dużej naraz ilości skład policzył nam nie po cenie funtowej i lutowej, ale po centnarowej, hurtowej. W ten sposób pożytek spólniej pracy stał się już jawnym i widocznym nie tylko dla członków spółki, ale i dla ich sąsiadów. Jest nadzieja, że czasem będzie pożytku jeszcze więcej.”
Książd L. M.

Jeszcze dwie spółki.

Za staraniem pana Plewińskiego, właściciela majątku Krzczonowa, zawiązała się we wsi Krzczonowie w powiecie lubelskim jeszcze w dniu 2 marca spółka gospodarско-handlowa pod nazwą „Spółki rolniej Krzczonowskiej”. Umowę jej spisał rejent Kochański z Lublina. Na początek sprowadziliśmy kilkanaście korcy kartofli ślązaków, kilka korcy owsa lejtewickiego, koniczny czerwonej i białej, i kilka funtów marchwi pastewnej, wreszcie sprowadził nam pan Plewiński dwa byzki rasy zwyckiej, i dwa siewniki, do zboża i do koniczny.

Do spółki należą następujące osoby: pan Plewiński z Kzczonowa, pan Rdułtowski z Bzeczka, pan Baczyński z Koszowa-Górnego, gospodarze: Andrzej Gzregorczyk, Jan Dadej, Franciszek Robak, Benedykt Dadej, Antoni Bargiel, Wojciech Mysłowski, Józef Tubielewicz, Franciszek Mamczak, Antoni Szpak, Wojciech Szpak, Jan Szpak, Tomasz Głab, Wojciech Godoś, Piotr Mordoń, Mikołaj Spos, Władysław Chotyński, wójt Jan Kuczyński, nauczyciel Konstanty Witkowski, kowal Mikołaj Wójcik, Franciszek Wójcik, Marcin Godoś i Józef Uzyński.

Serdeczne dzięki należą się panu Plewińskiemu za dobre chęci i dopomożenie nam dobrą radą w pracy około gospodarstw. Jak będzie się dalej rozwijała nasza spółka, co uradzimy na przyszłych zgromadzeniach i do czego dojdziemy, o tym chętnie napiszę do Gazety Świątecznej.

Spółnik.

We wsi Mątewicy pod Łomżą zawiązano w dniu 1 maja spółkę pod nazwą „Majówka”. Przystąpiło do niej 54 członków z udziałami po 5 rubli. Do zarządu jej zostali wybrani: Marcin Grobicki, Wincenty Wymolek i Aleksander Wysocki; na zastępców: Stanisław Piaścik, Wiktor Krajewski, i Stanisław Gątarcki. Skarbnikiem jest Jan Żelazny, a jego zastępcą Kazimierz Doda. Do rady sprawdzającej należą: ksiądz Wincenty Zieliński, Stanisław Wasik i Stanisław Żelazny, których w razie potrzeby zastępować będą: Mateusz Gradkowski, Mateusz Flera i Jan Poreda.

Spółka mleczarska utworzyła się dnia 5 maja w okolicy miasta Zwolenia w stronach radomskich. Należy do niej sześciu właścicieli folwarków. Maślarnia i serownia spółki tej ma stanąć w Łagowie.

Warszawskie Towarzystwo mleczarskie, utworzone dopiero w tym roku, ma zajmować się następującymi sprawami: 1) Uzależnieniem mleczarń, dostarczaniem maszyn do odciągania śmietanki od mleka, naczyń mleczarskich, papieru, oliwy i tym podobnych rzeczy, potrzebnych w mleczarniach, maślarniach i serowniach, oraz zarządków do zakwaszania śmietany. 2) Udzielaniem porad w sprawach mleczarskich i hodowlanych, i wysyłaniem do gospodarzy, na ich żądanie, zawodowych mleczarzy za opłatą po 2 ruble dziennie dla ręcznych mleczarń, a po 5 rubli dziennie dla mleczarń parowych, oprócz kosztów podróży. Ceny takie ustanowiono tylko dla członków towarzystwa; nieczłonkowie będą płacili podwójnie. Wreszcie towarzystwo zajmować się ma pośrednictwem w sprzedaży masła.

W okolicy Zambrowa w gubernji łomżyńskiej oziminy przedstawiają się bardzo dobrze, ale późne są liche. Myszy tylko nie małą szkodę nam zrzuciły, a w tym roku będzie ich bardzo wiele, bo dużo przezimowało. Poczynią też wielkie szkody w zbożu, jak i roku zeszłego. Wszyscy gospodarze powinni zawczasu tępić je na swych polach.

K. D.

W Rajgrodzie, w gubernji łomżyńskiej, parafianie zwożą kamienie i dzewo do wypalania wapna, które ma być użyte do budowy nowego kościoła. Plan i kosztorys są już zatwierdzone, roboty wkrótce się rozpoczynają, ale trzeba będzie, aby ludzie, dbający o chwałę Bożą, dopomogli je wykonać.

Pożądani są w Rajgrodzie piekarz i kowal-dzieńcójanie. Dotychczas piekarstwem i kowalstwem trudnią się wyłącznie żydzi.

A. D.

W Bzezinach, mieście powiatowem w gubernji piotrkowskiej, otwarty został w tych dniach skład rolniczy, który będzie sprzedawał i sprowadzał na zamówienie maszyny i narzędzia rolnicze i ogrodnicze, na-

czynia mleczarskie, nasiona i wogóle wszystko, co tylko w gospodarce rolniej jest potrzebne. Właściciel tego składu, p. St. Rzeszotarski, zawiadamiając nas o tém, píše, iż będzie sprzedawał nietylko za gotówkę, ale też pewnym gospodarzom i na spłaty, co jest bardzo ważne, bo tym sposobem łatwo dojść do lepszych narzędzi. Składy rolnicze w małych miastach, jeśli są uczciwie i rozumnie, po obywatelsku, prowadzone, są bardzo pożyteczne, bo ułatwiają rolnikom nabywanie ulepszonych narzędzi i doborowych nasion, a przez to są wielką pomocą w zaprowadzaniu różnych ulepszeń gospodarczych.

Z Suchedniowa, z pod gór Świątokrzyżskich, piszą do nas:

W nocy z 2-go na 3-ci maja usłyszano w Suchedniowie żałośny głos gwizdanki fabrycznej, zwołujący na ratunek. Zapaliły się dwa domy w ciasnej ulicy Żydowskiej. Ratowano dobrze. Jedni zalewali ogień, drudzy rozrywali budowlę przyległą, żeby ogień dalej nie szedł, a inni zlewali wodą dachy dalszych domów. Najwięcej przyczynił się do ugaszenia ognia ksiądz proboszcz Muszalski, który innym wzór z siebie dawał, jak w pożarze pracować należy, pilnował porządku, i karcił złych ludzi, a gapiów napędzał do noszenia wody. Jak lew też walczył z ogniem syn właściciela fabryki żelaza, Stanisław Starko, z robotnikami, którzy mieli siłkawkę i trochę narzędzi ogniowych. Pan Stanisław stanął na czele pracujących, a wszyscy go słuchali. Odznaczyli się też przy tłumieniu ognia dzielnością i odwagą Franciszek Malczyk, Antoni Skwarek, Roman Smużyński, Teofil Szymański, gajowy Bałchanowski, a przy wożeniu wody beczkami siłą i zwinnością Józef Sałkiewicz. Gdyby nie ten dzielny ratunek wszystkich pod wodzą księdza proboszcza i pana Starki, toby cały Suchedniów poszedł z dymem, a tak spaliły się tylko dwa domy.

Gorzę byłoby w sąsiednim miasteczku Bodzętynie. Teżże nocy spaliło się tam przeszło 50 domów i stodoł, bo nie było żadnego ratunku. W Bodzętynie jest wprawdzie nawet straż ogniowa, ale tak się zdziżyło, że należący do niej ludzie byli właśnie w tym czasie z kompanją u Świętego Krzyża na Łysiej Górze. *Jan K.*

Straż ogniowa ochotnicza w Płońsku, w stronach plockich, obchodziła w dniu Św. Stanisława uroczystość poświęcenia chorągwi, która będzie jej znakiem. Straż ta istnieje już 24 lata, ale dopiero teraz, dzięki staraniom swego zarządu, doszła do chorągwi. Poświęcił ją ksiądz prałat Olstyński po wotywie w kościele. Podano ją wtedy chorążemu, i odbył się z nią pochód strażaków po ulicach miasta. Uroczystość zakończono próbą gaszenia ognia za pomocą przyrządu amerykańskiego „Błyskawicy”. Ponieważ próba się powiodła, więc postanowiono kupić dla straży kilka takich przyrządów. Przewodniczącym w zarządzie straży ogniowej jest od lat kilku rejent Albin Trzebiński, naczelnikiem zaś straży doktor Stanisław Dutkowski. W roku przyszłym straż obchodzić będzie 25-lecie swego istnienia.

J. N.

Złote wesele. W drugi dzień świąt wielkanocnych, 4-go kwietnia, odbyło się w parafji Wilkowskiej pod Kazimierzem lubelskim złote wesele Małgorzaty i Tomasza Siedliskich ze wsi Rogowa. Błogosławieństwa udzielił im ksiądz Stanisław Siennicki. Przeżyli ze sobą w małżeństwie 59 lat, a po 80 i kilka lat mają. Pan Bóg nie dał im potomstwa, a że nie mogą już pracować, więc majątek oddali bratankowi. Ten dba o ich potrzeby, a do pracy

brać się im nawet nie pozwala. Ale Siedliscy próżnować nie lubią: on zawsze zajęty przy gospodarstwie, ona — latem w polu, a zimą przy kądzieli. W tejże wsi Rogowie jest i druga para, której już od tzech lat należy się złote wesele.

U. Ch.

Straszna zbrodnia. Gospodarz Antoni Kalinowski we wsi Olszance pod Wyszokiem, co leży nad rzeką Bugiem, ożenił syna w listopadzie roku ubiegłego i zapisał mu cały majątek, składający się z 20-tu przeszło morgów, sobie zaś wymówił tylko utrzymanie do śmierci. Lecz jakże mu się ten syn odwdzięczył za majątek, za wychowanie i opiekę ojcowską! Oto dnia 25-go marca, w samo święto Zwiastowania, kiedy wszyscy domownicy poszli do kościoła, synal zadusił starego ojca w stodole, a dla ukrycia zbrodni powiesił go, martwego już, u belki. Wykryto się to na drugi dzień dopiero. Wkrótce też zjechał wójt z doktorem z Wyszokowa, z pisarzem i strażnikami. Doktor zwłoki zbadał i orzekł, że stary nie sam śmierć sobie zadał. To samo później orzekła komisja sądowa. Syn podejrzany o ojcobójstwo siedzi teraz w Pułtuskach za kratą oczekując końca śledztwa i sądu. *Jan St.*

Z powodu listów o ogłoszeniach kupiec-kich, umieszczonych w nowinach Gazety 1218-ój, przysłano do nas, z prośbą o wydrukowanie, następujące wyjaśnienie:

„Pan Ostaszewski używał nogi sztucznej z mego zakładu nie pół roku, ale od października roku 1901, to jest prawie trzy lata, a wraz z rachunkiem otrzymał poręczenie. Jeżeli noga się popsula, to gotów jestem ją naprawić, żądając jednak wzamian, aby pan Ostaszewski dał do wydrukowania w Gazecie odpowiednie sprostowanie i wniósł według własnego uznania jakąś ofiarę na dotkniętych najbardziej powodź.”

Michał Pk.”

Przesyłka pszczoł pocztą. Komu wypadnie przesyłać pocztą pszczoły, będzie mógł to czynić. Niech zamknie pszczoły w skzynce z otworem siatką tylko zamkniętym i tak urządzonym, aby pszczołom nie zabrakło powietrza świeżego, i żeby można było zobaczyć, co się w tém pudle znajduje. Wydano niedawno rozporządzenie, aby za przesyłanie pszczoł w takich pudełkach pobierana była na pocztach opłata niższa.

Zmniejszenie składki ogniowej. Dla zabudowań odległych od sąsiednich mniej niż o 50 sążni zmniejszono na ten rok o 15 kopiejek na każdym rublu opłatę od rządowego zabezpieczenia ich od ognia. Dla zabudowań stojących dalej niż o 50 sążni od innych, najbliższych, budynków składka ogniowa pozostała taka sama, jaka była w roku zeszłym.

Z miasta Pittsburga w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej píše do nas jeden czytelnik:

W Ameryce nastąpiła taka bieda, że setki ludzi są bez roboty. Fabryki mają widać mało zamówień na swoje wyroby, więc powydały wielu robotników, i nowych wcale nie przyjmują. To też dużo ludzi chodzi po ulicach i żebze o kawałek chleba. I tym nawet wyżyć trudno, co mają jaką-taką robotę, bo we wszystkich fabrykach pozmniejszali o dziejącą część płace.

Jan Jemiel.

Z miasta Czykaga w Ameryce. Ktoś rozesał po świecie przez telegraf wiadomość o strasznej wichurze, która jakoby w dniu 26-y marca zniszczyła znaczną część miasta Czykaga w Ameryce. Podaliśmy więc ją w Gazecie 1213-ój. Lecz pokazuje się, że w telegrafowaniu musiała zajść jakaś pomyłka, bo oto jeden czy-

telnik Gazety Świątecznej pisał do nas z Czykaga, że żadnego szkodliwego wiru nie było tam w tym roku.

Ile wydajemy na wódkę. Niektóre gazety podały niedawno wiadomość, że mieszkańcy Królestwa Polskiego wypili w roku zeszłym, 1903, według obliczeń urzędowych, 4 miliony wiader wódki za 30 i pół milionów rubli. Wiadomość ta jest zupełnie mylna. Tyle wódki wypito nie w roku ubiegłym, ale w 1901-ym, o czém pisano przed pół rokiem zgorą w Gazecie Świątecznej 1189. Obliczeń urzędowych co do tego nietylko za rok zeszły, ale i za rok zaprzeszły dotąd jeszcze, o ile wiemy, nie ogłoszono. Żle by zaś było, gdyby istotnie w roku zeszłym zużyto u nas wódki tyleż, co i przed dwoma laty, bo w ciągu ośmiu lat poprzednich, przed rokiem 1902, ilość wypijanęj u nas wódki corok po trochu się zmniejszała.

We wsi Wieprzowie pod Tomaszowem lubelskim spłonęły w nocy z 8-go na 9-ty maja wszystkie zabudowania braci Stanisława i Antoniego Jabłońskich, oraz Łukasza Kuźniaza. Spalił się przytém chłopak 15-letni, Franciszek Jasiński, który spał w stajni, spaliła się para koni Ant. Jabłońskiego, dwie krowy i troje cieląt. Trudno było ratować, bo zabudowania stały prawie pod jednym dachem. Pożar powstał podobno z podpalenia. Węgiel koczujący w pobliskim lesie przy węglach widział przed pożarem dwóch ludzi skradających się do wsi, a potem uciekających do lasu. Antoni K.

Czyje konie? Dowiedział się z nowin w Gazecie 1218-jej, że jakiś gospodarz utracił konie „przez gozałkę”, zawiadamiam, iż w gminie Przystajni w powiecie częstochowskim odebrano dnia 13 kwietnia od ludzi podejrzanych dwie kobyły kare z wozem, z których jedna jest stara, po zębieniu, z gwiazdką na czole, a druga młoda 2-letnia; obie są bardzo ładne, warte 200 rubli, tylko wyniszczone daleką drogą. Może są to konie owego okradzionego gospodarza. Jeśli tak, to niech się on zgłosi do urzędu powiatowego w Częstochowie, gdzie będzie mógł otrzymać bliższą o nich wiadomość, a w razie potrzeby niech napisze list do mnie. Mieszkam w Przystajni, najbliższa poczta Kzepice. W. Janecki.

SĄSIEDZTWO.

(Zdarzenie prawdziwe.)

(Ciąg dalszy.)

I sercem wiedziona kobieta, nie czekając nawet na pozwolenie męża, puściła się ścieżką przez pola ku zabudowaniom dworskim. Zdaleka tylko widać było, jak oczy ocierała fartuchem.

Wśród pozostałych niewiast dały się słyszeć słowa:

— Sprawiedliwie Maćkowa zrobiła... Dziedziczka zawsze dla nas dobra i pomocna była.

Chłopi drapali się po głowach i patrzyli bezradnie na lzy babskie.

Pierwszy opamiętał się w żalości tój Piotr, karbowy. Oczy otarł kułakiem, odchrząknął, splunął, i przeżegnawszy się pobożnie powtórzył:

— Wieczne odpoczywanie raz mu dać Panie! A teraz bywajcie zdrowi. Jadę dać znać proboszczowi, że nieboszyk dzieć mój umarł.

Zaciął kaszana i pojechał. Pozostali spojrzeli po sobie, a potem ku Smoleńcowi, najstarszemu wiekiem gospodarzowi i sołtysowi zarazem. On zrozumiałszy to nieme zaproszenie rozpoznał krótko:

— Dziewczęta i chłopcy do domu! Każde do swojej roboty! A nam, gospodarze, trzeba odłożyć kosi i naradzić się, co w takim nieszczęściu uczynić należy.

— Pójdziem do Mordki może, — podsunął mądry Gzela.

— Co tobie w głowie? W roboczy dzień od samego ranka do karczmy? Zwarjował, czy co?

— Mordka by doradził...

— Mordka za siebie, a my za siebie rozum mamy, — ofuknął sołtys. — Ot, gospodarze, pójdę i ja teraz do dworu dowiedzieć się, jak to wszystko było i coby tam zrobić można; a na południe zapraszam was do siebie, do mojej chałupy na naradę. Nieboszyk był nam nieraz pomocą, był sprawiedliwym i dobrym gospodarzem i sąsiadem; więc goźi się też jego wdowie i sierotom w nieszczęściu życzliwe serce okazać.

II.

Nade dworem w Orłowie smutek i nieszczęście czarne rozpostarły skrzydła.

Śmierć nagła, jak grom z jasnego nieba, zawsze otaczających wstrząsa, sprawia na nich silne wrażenie. Gdy zaś grom ten powali człowieka w pełni sił żywotnych, który przed chwilą jeszcze pracował, rozmawiał i jak dąb mocny, opiekę i oparcie dla innych stanowił, zdumienie ich bolesne, osłupienie, niemal rozpacz, granic nie znają.

Śmierć podcięła jak kosą bujne i kwitnące życie człowieka; a gdy Bóg duszę zabrał do siebie, pozostała tylko bryła martwa, która lękiem i trwogą wszystkich przejmuję.

Duch, pierwiastek Boży, na sąd Najwyższy w inne uleciał światy; ziemską zaś powłoka jest już prochem tylko, zgnilizną, marnością... Skrzepnięta i martwa, najbliższych nawet, najbardziej ukochanych, zimmem i bojaźnią wstrząsa a odpycha.

Gdy sołtys Smoleniec, załatwiwszy najpilniejsze roboty i ogarnawszy się świętecznie, poszedł do dworu, od bramy już folwarcznej udeżyła go zmiana, jaką zastał.

Budynki stały otworem, nieład wszędzie, roboty żadnej. Ludzie, zamiast pracować, zbici w gromadki rozmawiali pocichu, jakby z obawą.

— Cóż to u was, nietylko nieszczęście, ale święto? — pytał sołtys, pochwaliwszy Pana Boga.

— Święto, nie święto, — odpowiedzieli, — ale nikt nie wie, czego się ma chwycić. Piotr pojechał do proboszcza i do gminy, a ekonom do miasta po światło i trumnę dla nieboszyka; więc stojimy i czekamy, aby być pod ręką, gdyż dziećzka może nas potrzebować. Rozsyłek dosyć będzie, a orka, — cóż już namemu panisku po niej!... Bóg wie, dla kogo tam pola będą służyły! Jemu ta już niewiele potrza ziemi...

W głosie mówiącego czuć było żal szery.

Sołtys pomyślał, że i to prawda, i poszedł dalej.

Im jaśniej, im weseliej świeciło słońce nad światem, tём smutniejszym i bardziej ponurym zdawał się dom dworski. Wszystkie okna stały otworem; w jednym tylko grube zapuszczono zasłony. Smoleniec domyślił się, że tam leży umarły, że przed nim zakryto umyślnie słońce, aby nie świeciło w oczy martwe, które nie miały go nigdy już oglądać.

Dokoła domu pusto było i cicho; ani żywej duszy.

Na stopniach ganku tylko siedziała najstarsza panienska, dziecko może dwunastoletnie. Strwożona, przytulona do słupa, z łokciami opartymi na kolanach, a głowiną w rękach ukrytą, płakała... Płakała tak strasznie, jak gdyby jej serce miało pęknąć. Widać schroniła się tu, nie mogąc powstrzymać łkania, które teraz wstrząsało całą drobną jej postacią i pod-

zucalo, rozrywało wątle piersi, zwykłą perkalową sukienką okryte.

Sołtys znalazł dziecko to od urodzenia, na rękę je nieraz nosił. Rówieśnica jego wnuczki, przybiegała do niej czasem, podzielić się ciastkiem lub owocami. Jako najstarszy we wsi gospodarz, po imieniu do niej zawsze mówił. Na widok też tój strasznej, rozdzierającej serce rozpazy, ekliwo mu się na duszy zrobiło, a czarna, spracowana jego ręka spoczęła ostróżnie na pochyloném, skurczoném z bólu ramieniu dziewczynki.

— Paniensko, — mówił łagodnie, — nie tzeba tak okropnie płakać. Niech Maniusia mamy nie martwi.

Podniosła ku niemu zapuchnięte, czerwone, a przerażone oczy, i wyłkała:

— Nie mogę... nie mogę się wstrzymać... Ach, sołtysie, tatuś, tatuś... tam...

— Wiem, — wyszeptał siwą pochylając głowę. — Wiem; Bóg zesłał nieszczęście... Ale właśnie dlatego też płakać nietzeba. Kiedym ja jeszcze był taki, jak Maniusia, to mię matka nauczyła, i od innych to słyzałem, że każda lza dziecka zmarlemu ojcu czy matce tam, na tamtym świecie, na duszę pada i spokój zakłóca. To gzech. Niech Maniusia będzie lepiej przy mamie i nie opuszcza jęj, nie zostawia samęj.

Z dużych oczu dziecka lzy nowym zuciły się potokiem.

— Nie mogę, — tłómaczyła drząc cała, — mama tam, tam, przy ojcu...

I znów skurczywszy się, głowę w ramionach ukryła.

Smoleniec popatrzył na tę biedną drobinę, którą los tak wczesnie a tak srogo doświadczał, poglaskał ją ze współzuciem po ciemnej główce i wszedł na palcach do domu żałoby.

Z ganka wsunął się do przedpokoju.

Na prawo zaraz stały podwoje rozwar-te na oścież. Na środku przyciemnionego pokoju, na zestawionych dwóch niskich ławach, dywanem okrytych, ubrany już kochającą dłonią, i kwiatami otoczony, z dwiema zwykłymi świecami u wezgłowia a krzyżykiem w rękę, leżał martwy dzieć, gospodarz Orłowa.

Twaz pociemniała nie wyglądała nawet na skamieniałą martwość, tylko znać w niej było wyraz wielkiego ukojenia, spokoju i pogody. Znać było, że po ciężkim zmartwieniu, które tego człowieka zabiło, przestał on cierpieć, że u progu wieczności odstąpiły go wszelkie ziemskie bóle i zgryzoty.

Cichy, martwy, w kamiennym śnie po-grażony, leżał jak proch nędzny, u wstępu domu, który dotąd cały na barkach jego opierał się i spoczywał.

W pokoju było ciemno i pusto. Świece tylko rzucały martwy, żółty blask na twaz zmarłego. Sędziwy wieśniak, który śmierci się nie bał, bo nieraz widział ją zbliżka, popatrzył długo z żalem serdecznym w skamieniałe rysy nieboszyka, i przeżegnawszy się pobożnie ukląkł, by za spokój jego duszy pacierz odmówić.

Kończył właśnie wieczne odpoczywanie, gdy uszu jego dobiegł jęk głuchy.

(Co było dalej — podamy za tydzień.)

Anatol Krzyżanowski.

GOSPODARSTWO.

Grunt nieurodzajny.

Mam 12 morgów gruntu ornego w jednym kawale, ze spadkiem ku północy. Ziemia jest czarną rdzina; piasku niema wcale. Gdy mokra, to można z niej garnki

lepić, kiedy zaś wyschnie, to taka jak popiół, że można ją przez sito siać; a gdy zbije się w bryły, to choćby były największe, zlasują się jak wapno od dżdżu. Po deszczu wjechać wozem, ani przejść nie można, bo nogi i koła ogromnie grzezną. Ani żyto, ani pszenica, ani jęczmień nie chcą się dobrze rodzić na niej. Gdy pszenicę zasiejesz na grochowsku, to wyrosnie, ale się przewraca. Żyto zaś wcale nie chce się rodzić. Owies udaje się jako-tako. Na połowie tego kawałka ziemi pod spodem jest opoka tuż pod wierzchem, tak, że pługiem się dostaje; a na drugiej połowie jest do trzech ćwierci łokcia głęboko jednakowa ziemia, czarna ręczina bez piasku, a w spodniej warstwie jest jakby biała glina opoczysta. Gnoję grunt dobrze, ale to nic nie pomaga. Na mórę wywożę gnoju 45 fur dużych, i to co 4 lata. Próbowałem i mniej gnojić, ale i to na nic. Sieję pod skibę, ozę w zagony. Proszę o radę, jak tę ziemię ulepszyć, jaki płodozmian zrobić, i czém zasiewać, żeby się stała urodzajna. Konieczna czerwona też nie chce rodzić się na niej.

J. M.

Ziemia opisana, chociaż zwierzchu ma ciemną barwę, jest, zdaje się, przeważnie wapienna, a brak w niej piasku, choć z samego opisu niemożna tego twierdzić napewno. Zdziwiałoby to, że na niej rodzić się nie chce ani konieczyna, ani żyto i pszenica. Trzeba by grunt zbadać umiejętnie, bez tego zaś nie mogę dać pewnej rady co do sposobu ulepszenia. Radzę tylko zrobić na próbę następujące doświadczenie.

Oddzielić pół morga ziemi najgorszej, najmniej urodzajnej, zorać ją w dwuski-bowe radlonki (to jest spętać pługiem po dwie skiby do kupy), i nawieźć w brzo-dy do pełna grubego piasku. Potem ca-ły ten kawałek ziemi podzielić na dwie połowy, i jedne ćwierć morga posypać zwierzchu kainitem i superfosfatem amon-jakalnym tak, żeby kainitu wyszło 3 cen-tnary, a superfosfatu 1 centnar; drugą zaś ćwierć morga nawieźć odpowiednio gnojem. Potem zorać pole wpoprzek, zbronować dobrze, i zasiać na zimę żyto lub pszenicę. Być może, iż nieurodzajność ziemi wynika tu ze złego jej składu, albo z braku potasu (którego się doda w kainicie) i kwasu fosforowego. Próba taka, je-śli ulepszy plony, wskaże, czy nasz do-mysł jest trafny i w jaki sposób grunt ten można poprawić.

Szkoda, że w liście nie napisano do-kładniej, czy grunt leży na wzgórkach, czy w nizinie. Jeśli położenie niskie, to nie-urodzajność może być z nadmiaru wilgo-ci, a w takim razie grunt należałoby od-powiednio osuszyć.

Płodozmianu teraz zaprowadzać nie-można. Najprzód trzeba zrobić próby i zobaczyć, co one pokażą.

A. S.

Mrówki i mszyce na drzewach.

Drobne czarne mrówki włączają mi na młode dzewka owocowe i prawdopodobnie wysysają sok z listków od spodu, bo te skręcają się w rurkę i martwieją. Mrówki te muszą też chyba pozostawiać coś na listkach, bo później zjawiają się na nich mszyce zielone, które bardzo niszczą dzewka. Jak temu zapobiedz?

K. Ch.

Mrówki listków nie wysysają i same żadnej szkody drzewku nie robią. Przy-czyną skręcania się liści są mszyce, które mrówki umyślnie, dla swego pożytku, hodują na drzewach. Mszyce są tém dla mrówek, czém dla nas krowa. Podobnie jak my hodujemy krowy i korzystamy z ich mleka, tak samo mrówki hodują

mszyce i ssą ich słodki, lepki sok. A ponieważ mszyce karmią się sokiem z liści, więc mrówki zanoszą ten swój żywy dobytek na dzewa i tam go pasą. Żeby dzewa owocowe od tych hodowców i ich bydła uchronić, trzeba zrobić trzy rzeczy: 1) usunąć mrowisko, jeżeli jest w sadzie; 2) zabezpieczyć dzewka tak, żeby na nie mrówki nie wchodziły; 3) zniszczyć mszyce siedzące na końcach gałęzi.

Jeżeli mrowisko w sadzie jest na po-wierzchni ziemi, to należy je zebrać w wo-rek, spazzyć gorącą wodą i dać drobiowi, który chętnie mrówki wyje. Dzewa starannie okopać, ale tak, żeby nie zranic kozeni, i ziemię pozostawić nieugrabio-ną. Jeżeli znajdziemy w ziemi pod dze-wem mrowisko, a nie będzie można ze-brać go w worek, to trzeba posypywać je miałem wapiennym; będzie z tego ko-zyść podwójna: zniszczymy mrówki i uła-twimy dostęp powietrza do kozeni, co jest bardzo pożyteczne dla dzewa.

Aby mrówki nie wchodziły na dzewo, trzeba na jego pień, mniej-więcej o trzy ćwierci łokcia nad ziemią, założyć pas o-chronny z grubego papieru lub tektury, na dłoń szeroki, przywiązać go do dze-wa, wysmarować czém lepkiem, naprzy-kład smołą, dziegciem, lub czémś podob-ném, i smarowanie powtarzać, jak tylko to wyschnie.

Końce gałęzi zarażone mszycami trze-ba obcinać i palić. Skutecznie niszczy się mszyce, wzy i pluskwy roślinne zapomo-cą zraszania dzewka następującą miesza-niną: W dwóch kwartach wody ciepłej rozpuść ćwierć funta szarego mydła. Gdy się zupełnie rozpuści, wlej trzy kwarty nafty, i mieszaj drewnianą kopyścią do-tąd, aż utwoży się piana podobna do śmietany. Potem dolej 15 kwart wody ciepłej, i wszystko razem dobrze zmieszaj. Płynem takim zrasza się dzewko za po-mocą ręcznej sikawki ogrodowej.

W. U.

Rabusie w pasiece. Spadanie pszczół.

Mam trzy kóska pszczół, do których tak mi się czyjeś pszczoły czyli rabusie wne-ciły, że bardzo dużą kzywde moim wy-ządają, a nie wiem, jak je odpędzić. W jednym ulu jest mało miodu, więc dają pszczołom cukier, ale ich dużo spada. Co mam na to robić?

D. W.

Jeżeli rabunek dopiero się zaczyna, to można zaradzić mu przez odstawienie ula w inne miejsce. Przedtém jednak można próbować przykryć wyloty rzadkiem płótnem zmazaném w wodzie, aby rabusie nie mogły dostawać się do środka. Jeśli niewielka ich ilość zostanie zamknięta w ulu, to nic nie szkodzi, bo miejscowe pszczoły je pozabijają. Taka jednak po-moc nie zawsze bywa skuteczna. Rabusie starają się najpierw zabić matkę, a gdy to zrobią, porządek w ulu się psuje, i o-sierociałe pszczoły, jako słabsze, do szcztu wyginąć mogą.

Jeżeli pszczoły w roju giną coraz czę-ściej, to trzeba ul koniecznie zbadać, czy niema w nim zgnilca. Poznać to łatwo po nieprawidłowo zaczerwionych plastrach, nieprzyjemnym zapachu idącym z ula, lub po zapadłych komórkach pozasklepianych. Jeżeli jest zgnilec, to zaraz ul trzeba wy-wieźć w inne miejsce, o wiorst dwie od pasieki, i tam rój ratować, żeby od niego inne w pasiece się nie pozarażały. Pszczo-ły mogą jednak spadać i z innego zupeł-nie powodu. Jeżeli rój składa się z pszczół zeszlorocznych, przeważnie takich, które la-tały jeszcze pod jesień na robotę, to te najczęściej wyginą wszystkie, i tylko póź-niejsze doczekają lata. Wina to w każdym razie pszczelaza, że pozwolił w przeszłym

roku w czasie miodobrania mnożyć się pszczołom, zamiast im matkę zabrać z ula, a pszczoły napędzać do noszenia miodu.

K. L.

Na rozrzuconej osadzie.

(P. Liskowi J.) Na osadzie, która składa się z małych kawałków gruntu rozrzuco-nych to i ówdzie i pomieszanych z grunta-mi sąsiedzkimi, płodozmianu zaprowadzić niemożna, bo na takich kawałkach gos-podaz musi, choćby nie chciał, siać to, co sieją sąsiedzi. Kto chce ulepszyć swo-ją gospodarę, a ma ją nie w kupie, ten musi przedewszystkiém postarać się ją zcałic. Dopiero, gdy tego dopnie, będzie mógł zająć się na niej, jak sam zechce, i zaprowadzi płodozmian według wskazo-wek nauki.

A. S.

Odpowiedzi drobne (Karmienie ryb. Płodozmian.).

P. Wojtkiewiczowi. Karasie i liny, podobnie jak karpie, najlepiej opłaca się karmić łubinem mielonym, a jeśli go niema, grochem mielonym lub ugotowanym i dobrze utartym. Dokładnie obznajmić się z żywieniem ryb można z książ-ki niedawno wydanej p. n. „Ryby i ich ho-dowla w stawach, zekach i jeziorach”.

Czytelniczce z Podola. Prysłany opis jest tak niedokładny, że na jego podstawie nie można ułożyć planu zagospodarowania majątku, tém bardziej, jeśli jest zamiar zaprowadzenia płodo-zmianu 15-polowego.

A. S.

Listy do Gazety Świątecznej.

Z gminy Ulan pod Łukowem
w gubernji siedleckiej.

O szczerych włościanach i o szfalszowanych pan-kach. — Moda wzięta od zwierzyny. — Jak jest w innych okolicach. — Wieś, w której jest dużo wilków. — Mało łupu, trzeba okupu. — Kto gorzy dzieci. — Grunta dobre, ale niewyzyskane.

Do Gazety przysyłali listy zblizka i z oddali, pisywali czytelnicy ztąd i zo-wąd, z zagranicy, a od Ulan z pod Łuko-wa, niema dawno ani słowa. Otóż ja dziś pisać siadam, na stole papier rozkładam, porządku trocha zrobiłem i kałamaz po-stawiłem, pióro w rękę żwawo chwytam, z czytelniki rad się witam. Niech też wie-dzą czytelnicy i o naszej okolicy. Co tu widzę i co słyszę, wszystko zretelnie opi-szę: jak tu dzieci wychowują i jak z nie-mi postępują; jak się ubierają starzy, a jak znowu kawalerzy, jak też panny, jak mężatki, jak tu wychowują dziatki, wszyst-ko ja tu na papierze, opiszę zretelnie, szcze-ze.

Kto w tych stronach urodzony, i jest tak przyzwyczajony, to się temu nie dzi-wuje, taki zwyczaj zachowuje: spodnie no-si kratowane, precz czerwonym przetyka-ne, kamizelka taka sama, też czerwonym przerabiana, czapki wszyscy starszokowie rogatę noszą na głowie, a ludzie wieku średniego mają już kroju inzego. Lepszy ubiór staroświecki, niżli kusy ów niemiec-ki, bo ten sami wyrabiają, za niemiecki złoto dają. Płótno własne w domu tkane na codzien jest używane, a na święto, na niedzielę mają już sklepowych wiele, sukmany już zazucają, do surdutów się zwracają. Młodzi, tak zwane „facety”, noszą na głowie kaszkiety, czy to w zimie, czy też w lecie, każdy musi być w kasz-kiecie; buty szlacheckie sprawiają, nawet drogo opłacają, z cholewkami sakowemi, a z przyszwami hamburskimi, glansowa-ne i świecące, i jak sucha oś skrzypiące. I tak w nich się „prezentują”, butną minę pokazują, włosy w górę zadzierają, i za panków się podają. A inni znów na mu-zyki przypinają kołnierzyki, aby miny więcej było, aby dziewcząt przywabiło.

Który idzie na wesele, ma z głupoty puchy wiele: papierosy spacerowe, ponapchane, gotowe, i koziczek wystrożony do kieszonki zasadzony; jeno szturchnąć go, spróbować, to on gotów „zaszlachtować”, a gdy się wódką upoży, to nikogo się nie boji i pięściami przez wywija. Taką jego „ambicyja”. A o tém nie myśli wcale, że może być w kryminale, ani o tém, co w niedzielę księża wołają w kościele. Nic go zgoła nie frasuje, tylko sobie przytupuje, tyle u niego frasunku, jeśli mu zabraknie trunku.

Nie wszyscy chodzą z nożami, nie wszyscy są pijakami, i tacy się też trafiają, którzy w głowach olej mają, i skromnie się zachowują, i bliźnich swoich szanują.

Wspomnę tu i o kobietach, o ich wadach i zaletach, o tém, jaki ubiór mają, jak go same wyrabiają. Ci, którzy tu przybywają, to aż się zastanawiają, co w tych stronach za sposoby, że tkają takie wyroby, w różne pręgi i krateczki, na fartuchy i na kiecki, wszystko — lniane i wełniane, kolorowe, farbowane, i dziewczęta i mężatki ubierają się w te kratki. Czy to w domu, czy w kościele, to powiadam prawdę śmieje, jako róże, co w ogrodzie, tak te panny są w tej modzie. Lecz już większa ich część zwierzchu ubiera się też po miejsku w różne bluzki z fałdeczkami, zakwiaty z pelerynkami, parasolki także mają, nad sobą rozpościerają. A niektóre też dziewczyny biorą modę ze zwierzyny, po ziemi włóczą kieckami, jak zwierzyna ogonami; choć która zarobi złoty, zaraz wyda na błyskoty, a rodzice narzekają, że córki z nich groźną ściągają. Lecz są przecie inne ziemie, gdzie po wiejsku wiejskie plemię chodzi, i nie w obcym świecie. Ot, w biłgorajskim powiecie, to tam nie pragną włóścianie, żeby do nich mówić „panie”, nie znają kusių surdutów, kamazy, szlacheckich butów, wszystko w modzie pradiadowskiej, którą mają w czei synowskiej: konopne, lniane kaftany, bielutkie jak śnieg sukmany. Chociaż u nich nie bywałem, lecz ich często widywałem, często razemśmy robili, razem jedli, razem pili. Albo w Lubelskim, w Kzczonowie, kto tam bywał, niechaj powie: gdy w lecie pójść do kościoła, rozejrzeć się dookoła, czy tam stary, czy też młody, każdy według dawniej mody; zaraz poznasz, że włóścianie, — każdy jest w białej sukmanie. (Choć gdy się tam przechodziło, to się czasem aż przykryło: tak się tam wsie rozciągają, że po cztery wiorsty mają.) Albo znów pod Lubartowem, co jest miastem powiatowem, też znam takie okolice, i nad Wiepzem Leszkowice z flisakami leszkowskimi (do szkoły chodziłem z nimi). I Firlej mi także znany, byłem blisko wychowany. Chociaż i tam dawne mody noszą topić już do wody, lecz każdego włóścianina odróżnisz od mieszczanina, bo kamazów tam nie znają, krawatów nie przypinają. A choć kurtki i kaszkiety widać i tam już niestety, młódz dopiero ich próbuje, przymierza, czy tak pasuje. Inni się przebierać wstydzą, bo z nich rozumniejsi szędzą.

(Dokończenia nastąpi.)

Włóścianin R.

Na morzu pod Portem Artura.

Jeden z gazeciarzy rosyjskich, przysyłających wiadomości z dalekiego wschodu, gdzie się toczy wojna, podał w dniu 3-im maja przez telegraf następujący opis walki morskiej stoczonej téżże doby nocą u wjazdu do morza do przystani Portu Artura:

Wczoraj wchodziłem na Złotą górę. (Gó-

ra ta, zasłaniająca miasto Port Artura od strony morza, jest zaznaczona na rysunkach, szczególnie na mniejszym, w Gazecie 1212 i 1215. Należy te numery Gazety Świętecznej wziąć do rąk i przyjąć się położeniu Portu Artura oraz jego okolic.) Na morzu nie było żadnego statku, nic nie zapowiadało nadchodzącej walki. Nocą powstał wichur od strony morza, wrogi i niebezpieczny dla okrętów japońskich, gdyby przyszły bić się. Aż tu słyszemy huk armat. Biegnę na Złotą górę i widzę lunę od ciągłych strzałów armatnich. Na widnokręgu w ciemności to otwierają się, to gasną jakieś złowrogi, ogniste oczy. W powietrzu świst od przelatujących kul i skorup po kulach już wybuchłych. Miasto opustoszało. Wtém wążka smuga silnego światła latarni elektrycznej puszczona z łądu w dal morską oświetliła jakieś białe zjawisko. To okręt japoński płynący do Portu Artura, aby u samego wjazdu do wewnętrznej przystani zatonać. Po chwili od strzałów armat ze Złotej góry i z Tygrysięj wyspy, a także z trzech statków rosyjskich, „Gilaka”, „Odważnego”, i „Bobra”, tył owego okrętu jakoś się dziwnie odwalił, przód podniósł się do góry, i zwolna cały statek się zanurzył. — A tu na stromym pochyłości Złotej góry świszczą skorupy kul wybuchających. Skąły drżą od huku całych baterij armat, zapalanych razem elektrycznością. Z wieżochką góry przyglądamy się uważnie najświetniejszej bitwie nocnej w tej wojnie. Noc mglista, księżycowa. Wszystko, co dalej, kryje mgła. Mgłą jednak przesywają jasne smugi światła elektrycznych, których wszystkie oślepiające promienie odbijają się wklęsłymi zwierciadłami w jeden snop wążki, a o mile sięgają. Okrętów japońskich we mgle niewidać, ale jeden z nich, osłaniający zapomocą swych dalekonośnych armat napad buchadłowców i statków na zatopienie, wysłał też ku przystani Portu Artura takie same smugi światła. Okręty-topielce płyną z dwóch stron, trzy od południa, pięć od północy. Pośrodku nastąpiły dwa wybuchy: chyba tam jeszcze dwa okręty trafiły na buhadła podwodne. Wszystkie baterje armat na brzegu łądu dają ognia. Ani razu jeszcze nie były one tak czynne, jak dziś. Grzmiało wszędy, a strzały były bardzo celne. W ten straszny, zabójczy ogień okręty-topielce szły po bohatersku na śmierć niezawodną. Trzy statki buhadłowe płynęły za nimi, o wiorst 6 od brzegu. Trzymały się one śmiało pod strzałami wszystkich rosyjskich baterij nadbrzeżnych i statków armatnich. Po kwadransie jeden buhadłowiec został trafiony, inne oddaliły się. Ale okręty-topielce spokojnie całym pędem szły naprzód.

Pierwszy z nich spostzegliśmy po godzinie pół do drugiej nocą. Był wielki, a w smudze światła elektrycznego oślepiającego biały. Powitały go wybuchając kule licznych armat. Tuż za nim zjawił się znieścacka drugi, jeszcze większy. Kule armat wybuchaly dookoła nich z zadziwiająco celnością. Ale spokój Japończyków przechodzi wszelkie wyobrażenie. To wróg godny, zasługujący na szacunek.

Gdy pierwszy okręt tyłem tonał, jego służba zgromadziła się na wzniesionym do góry przodzie i przed śmiercią krzyknęła chórem: „ben zaji!” — Ten okrzyk japoński znaczy tyle, co „hura”, albo wiwat.

Drugi okręt walczył niedługo. Przebity na wylot, zatonał odrazu. Flisacy okrętowi jakimś dziwnym sposobem ucepili się wieżochką masztu wysterkającego czas jakiś z pod wody, i dawali swym

statkom znaki, wymachując światłem trymanem w rękach.

Tzeci i czwarty okręt podpłynęły bliżej do przystani, i zostały zniszczone bombami izucenemi przez moździerze z obu brzegów łądu. Okręty zatonały. Ze trzy minuty wystawały jeszcze nad wodą wieżochki kominów i maszty. Japończycy tonąc zapalali rakiety. Tak zawiadamiali swoich o swym losie, a jednocześnie wzywali ratunku.

Szósty okręt, podziurawiony pękającymi kulami, zatonał nieco dalej w południowej stronie. Siódmy, oświetlony smugą światła, jakby rósł coraz większy idąc na strzały armat. Szybko podążył do swego celu, aby zatonać i zawałić sobą drogę okrętom rosyjskim, a tym sposobem zamknąć je wewnątrz przystani. Na grad kul odpowiadał on takimże gradem, i długo płynął tak wśród wybuchów białej piany od bomb padających tuż przed nim i obok po obu stronach. Był on większy i groźniejszy od innych. Ale ludzie na nim, oślepieni zucanem im w oczy światłem i zwiędzeni nagłym zgaszeniem światła na okrętach stojących u wjazdu do przystani, wpadli na skały. Na okręcie tym, jak i na innych, znajdowali się widocznie doskonali żeglarze. Gdyby im pozwolić wrócić do swoich, mogliby jeszcze dać się we znaki. Więc w łódki, na które wysiedli, zaczęto walić wszelkimi możliwymi pociskami z armat. Trzeba też było widzieć, jak walczyli ze śmiercią. Łodzie się zatrzymywały, Japończycy udawali, że już nie żyją, gdy zaś przestawano w nich strzelać, płynęli dalej. Lecz wioślarzy było coraz mniej, a wkońcu pozostały na tych łódkach same tylko ciała poległych.

Po zatonięciu siódmego okrętu smuga światła dała armatom za cel do strzelania duży buhadłowiec japoński. Walczył on ze 20 minut w białym obłoku pary wypuszczanej i dymu. Potem obłok ten jakby stanął, małał, a wkońcu znikł zupełnie. Wojskowi na Złotej górze sądzą, że statek ten zginął. Zatopienia ósmego okrętu nie widziałem.

Zdała w czasie bitwy nieraz ukazywał się szybko pływający krążownik wojenny, ale wątpię, żeby mu się udało kogokolwiek z tych zatopionych okrętów uratować. Z obu stron téj nocy wystzelono przynajmniej 3 tysiące nabożów armatnich. Nieprzyjacieli przez cały ten czas odznaczał się meztwem nadzwyczajnym i nie chciał się poddawać. Flis pozostały na okręcie, który wpadł na skałę, na wezwanie, żeby się poddał, odpowiedział strzelaniem z rewolweru w żołnierzy rosyjskich. Inny Japończyk zucił się w morze, a gdy go z wody wyciągnięto, starał się zadusić taśmą, którą miał na szyji. Dwaj siedzieli na wieżochku komina zatopionego okrętu i ledwo po długich namowach dali się ztamtąd zabrać. Ci, którzy dopadli swych łódek, ginęli w oczach naszych w gradzie kul, ale żadna łódź się nie poddała. Jedną łódź fale wyrzuciły na brzeg. Było na niej siedmiu ludzi ocalonych, a 15 rannych, wszyscy w głowy i piersi. Ci, zabrani w niewolę, starali się też podusić. Do jednego tonącego okrętu podpłynął statek rosyjski, aby ludzi zabrać, lecz Japończycy się bronili waląc z armaty szybkostrzelnej. Z masztów zatopionych okrętów ściągnięto ośmiu ludzi.

Walka skończyła się już za dnia. Miejsce walki stało się cmentarzem zatopionych okrętów. Jedne z nich leżą rozbite blisko brzegu, innych maszty i kominy sterczą nad wodą. Pierwszy to raz walka trwała tu tak długo. Japończycy jednak ani bohaterstwem, ani ofiarami nie osiągnęli jeszcze zamierzonego celu. Słońce

już świeciło jaskrawo, kiedy ze Złotej góry wracałem.

Nowinki telegraficzne.

Wojna rosyjsko-japońska.

Petersburg, d. 13 maja. Wyszedł ukaz Najwyższy, w którym powiedziano, że z powodu wypadków wojennych, jako też dla powiększenia zasobów banku państwowego ma być zaciągnięta zagranicą pożyczka w ilości 300 milionów rubli czyli 800 milionów franków. Na zgromadzenie pożyczki tej wydane zostaną listy po 500 franków czyli po 187 i pół rubli, z odcinkami (kuponami), które będą dawały procentu rocznie po 5 kopiejek od każdego rubla.

Tokjo, d. 10. Gdy miano wyprawić do Portu Artura na zatopienie osiem starych okrętów, które tam doszły nocą na dzień trzeci maja, i ogłoszono, że potrzeba do tego przedsięwzięcia na śmierć prawie pewną paruset ludzi, to się zgłosiło dwadzieścia tysięcy ochotników z różnych okolic Japonii. Zpośród tej ogromnej liczby potrzebną ilość wybrano lub wylosowano.

London, d. 12. (Tel. Ag. Ros.) Jeden gazeciarz angielski przyglądał się dnia 1-go maja bitwie nad rzeką Jalem stojąc na wzgórzu od strony miasta Wizu (patrz na rysunku w Gazecie 1219), i tak tę bitwę opisuje: Gdy po nocy zaświtało i mgła nad rzeką zniknąć zaczęła, widać było wojsko japońskie, piechotę rozstawioną do boju w jednej linii. Bitwę rozpoczęło strzelanie z dwóch baterji armat ustawionych na niskiej, płaskiej wyspie po środku rzeki, naprzeciwko miasta Wizu. (Każda baterja ma zwykle 8 albo 6 dział czyli armat.) Strzelały one pół godziny we wzgórze wznoszące się na drugim brzegu rzeki, po stronie Mandżurji. Przy wschodzie słońca strzelano niżej, ponad sam brzeg rzeki. Ale ze strony Rossjan żadnej odpowiedzi nie było. Zdawało się, że już tam, w Ciulanczeniu, niema żadnego wojska. Więc po godzinie 7-jej piechota japońska wyciągnięta wzdłuż rzeki w linię z pół wiorsty długą ruszyła naprzód na owe wzgórze. Wtedy dopiero wojsko rosyjskie sygnęło z tych gór nagle ogniem rotowym raz, drugi, trzeci i t. d. (Ogień rotowy, albo bataljonowy—to strzelanie wszystkich żołnierzy, całych rot, albo całego bataljonu razem.) Więc odezwały się znowu armaty japońskie, walące gęsto w te wzgórza szrapnelami (z których każdy gradem kul zabójczych wybucha). Te pociski padały wciąż niemal w te same miejsca, celowane do zadziwienia trafnie. Armaty rosyjskie milczały. Piechota japońska tymczasem uszła kilkaset kroków od brzegu rzeki ku wzgórzom. Wtem rozległy się znowu strzały piechoty rosyjskiej ukrytej za okopami. Kule padały w Japonczyków w otwartym polu. Więc ci cofnęli się poza piaszczyste pagórki i ztamtąd strzelali z karabinów. Ponad ich głowami zaś leciały ku okopom kule z armat japońskich. Oficerowie japońscy jedni siedzieli na koniach, drudzy szli na czele swych szeregów naprzód. Służba lekarska przyniosła do szpitala wiadomość, że są ranni. Po godzinie 8-jej rano strzelanie Rossjan naprzeciwko Wizu zupełnie ustało wskutek ognia armat i piechoty japońskiej. Było widać, jak wojsko rosyjskie drogami po górach odchodziło ze swych stanowisk. Ale i straty Japonczyków musiały być znaczne. Szli i wdzili oni na strome góry jak mrówki. Jeden ich oddział wchodząc na górę, dotarł do

stanowiska Rossjan, w które waliły jeszcze armaty japońskie. Dwie kule między nich padły i wybuchły. Dwunastu Japonczyków od własnych dział padło. Trupy ich pozostały na miejscu. Cały oddział zbiegł ze wzgórza, ale jeden żołnierz wdrapał się na szczyt stanowiska rosyjskiego i zatknął chorągiew japońską. Wtedy armaty strzelać przestały. Japonczycy pozostali w mieście Wizu przyglądają się temu, co się dzieje za rzeką, i od czasu do czasu wydają okrzyk: „benzaj!” Piechota, artylerja i wozy obozowe ciągną wszystkimi drogami ku przeprawom przez rzekę.

Laogan, d. 16. Wojska japońskie pierwszej wyprawy, pod dowództwem generała Kurokiego, podzielone były na kilka części. Jedna ich część pozostała w Koreji północnej, rozstawiona niedużymi oddziałami po różnych miastach. Druga część, większa, walczyła z Rossjanami nad rzeką Jalu, niedaleko od jej ujścia do morza, i po przeprawie a zażartej bitwie dnia pierwszego maja, zawiadnawszy miastami Ciulanczeniem i Antunem, posła dalej na zachód i nieco ku północy w głąb Mandżurji. Trzecia część wojsk japońskich z tejże wyprawy przeprawiła się przez rzekę Jalu bez bitwy, pocichu, dalej od morza, w północnej stronie, i posuwa się ztamtąd też na zachód. Obie te części idą ku Laojanowi, gdzie zgromadzone są i obwarowały się okopami główne siły rosyjskie pod naczelnym dowództwem generała Kuropatki. Niewiadomo jednak, co zamysła wódz Japonczyków, Kuroki, bo wojska jego minawszy miasto Fynhanczen (gdzie na rysunku w Gazecie 1215 napisano tylko „Fyn.”) podzieliły się znowu i rozeszły się: jedne podążają drogą jakby do Hajczenu (zobacz na tymże rysunku, gdzie to jest), a inne z drogi do Laojanu skreśliły ku północy, aby ominąć zdradne wąwozy w górach, stężeone podobno i obwarowane przez Rossjan. Wojska tej wyprawy przebyły dopiero, jak się zdaje, połowę odległości między rzeką Jalu a miastami Laojanem i Hajcznem, co leżą przy drodze żelaznej z Syberji do Portu Artura przeprowadzonej.

— *D. 16.* Wojska japońskie drugiej wyprawy przyplęły też i wysiadły z okrętów na brzeg Mandżurji w kilka dni po bitwie nad rzeką Jalu. Część ich wysiadła pod miastem Daguzanem i zajmuje jego okolice aż po miasto Sujan ku północno-zachodniej stronie, i miasto Dzentajcy nad morzem. (Na rysunku w Gazecie 1215 położenie tych wszystkich miast zobaczysz.) Druga część Japonczyków z tejże drugiej wyprawy wylądowała z okrętów pod miastem Bicywem, na wschodnim brzegu półwyspu Laotuna. Ztąd oddziały tych wojsk doszły do drogi żelaznej i przecięły ją, niszcząc mosty niektóre i rozbierając kolejniny. Zerwały też druty telegrafu. Port Artur więc ze swoją najbliższą okolicą jest zupełnie odcięty od świata. Siedzi tam podobno i bronid będzie tej silnej warowni 30 tysięcy wojska rosyjskiego, a mianowicie 20 tysięcy lądowego i 10 tysięcy morską. Okręty japońskie przewozowe okrążyły cały półwysep Portu Artura, weszły w zatokę morską pod miastem Adamsem (też znajdź je na mapie) i tam podobno także część wojska na ląd wysadziły.

Andun (miasto przy ujściu rzeki Jalu do morza), *d. 13.* Zwieziono tutaj z okolic Ciulanczeniu, gdzie 1-go maja odbyła się bitwa, 20 armat rosyjskich polowych, 10 armat kartaczownic, karabiny, zapasy stzeliwa, żywności, kuchnie polowe, dwa szpitale i narzędzia kapeli wojskowej, po większej części postzelane. Wszystkich

żołnierzy i oficerów wojska rosyjskiego, którzy od ran zmarli w szpitalach, pochowano uroczysto na wzgórzu koło Anduna. Pogrzebowi towarzyszyło wojsko japońskie, a przewodniczył jedyny duchowny z Europy, jaki znalazł się w Andunie, misjonarz, pastor ewangelicki.

— *D. 17.* Gazeciarze zagraniczni zwiedzali w mieście Andunie szpital, w którym leżą żołnierze rosyjscy ranieni w bitwie 1-go maja. Na zapytania odpowiadali oni, że mają pomoc i opiekę dobrą, i nie cierpią głodu, ale im się to najbardziej przykry, że chleba nie dostają, bo Japonczycy zamiast chleba kaszę z ryżu jedzą sami i im dają.

— *D. 12.* Wysłano z Andunu okrętem do Japonii 431 żołnierzy rosyjskich wziętych do niewoli.

— *D. 15.* Generał Charkiewicz donosi, że w dniu 5 maja, po wylądowaniu Japonczyków pod Bicywem, nieduży oddział rosyjski przez nich ścigany utracił 3 konie zabite i jednego strzelca ranionego. Dnia 9 maja nieprzyjaciel napadł na oddział rosyjski stojący o 10 wiorst na południu od miasta Adamsu, przyczém zginęło 4 żołnierzy, a ranionych zostało 8. Dnia 11 maja o 15 wiorst na zachodzie od Fynhanczeniu w starciu z Japonczykami dwóch kozaków padło zabitych, a setnik ich FonWal otrzymał ranę. — W Jantaju, na drodze z Laojanu do Mukdena, tżystu chunchuzów napadło na secinę kozaków, którym przysła na pomoc rota piechoty rosyjskiej. 30 chunchuzów zostało zabitych i ranionych. — Między Laojanem a Samadzą (na mapie w Gazecie 1215-jej litery „Sam.”) w potyczce z chunchuzami padło zabitych 3 kozaków i 3 konie, raniony 1 kozak, a 4 kozacy przepadli niewiadomo jak. — O 12 wiorst na zachodzie od Mukdena wojsko rosyjskie posłane na poszukiwanie bandy chunchuzów odnalazło ją schowaną we wsi. Chunchuzi bronili się i pozostawili 20 zabitych. Z Rossjan 2 zostało zabitych, a 3 ranionych.

— *D. 16.* Liczne seciny kozaków rosyjskich zostały posłane do północnych okolic Koreji i swoim zjawieniem się tam zaczęły od dnia 8-go maja bardzo niepokoić Japonczyków. Kozacy nawiedzili już kilka miast korejskich. W dniu 10-ym maja siedem ich secin chciało wejść i do miasta Anczu. Nie wpuszczał ich tam nieduży oddział japoński, i cały dzień trwała walka. Dopiero po nadejściu drugiego oddziału japońskiego z Peńjanu kozacy ustąpili. W starciu tém 4 Japonczyków poległo, a 6 odniosło rany.

Petersburg, d. 17 maja. Główny wódz wojsk rosyjskich w Mandżurji, wojujących z Japonczykami, generał Kuropatkin, przysłał wczoraj (w poniedziałek 16 maja) do Najjaśniejszego Pana te słowa: „Okolo godziny 12 w południe podplęnęło pod Senjuzzen (stację drogi żelaznej z Rossji do Portu Artura na zachodnim brzegu półwyspu Laotunu, pod samym miastem Hajpinem, wskazanem na mapie w Gazecie 1215) 17 okrętów, i zaczęło strzelać w miasto. Podczas tego pięć okrętów przybiło do brzegu. O godzinie pół do drugiej z za przyładka ukazały się jeszcze trzy duże okręty, a o godzinie 3 i minut 20 nieprzyjaciel wysiadł z okrętów na ląd pod wsią Hwanciatuniem i rozpoczął pochód do miasta Hajpinu.

(Miejsce to leży blisko od początku drugiej drogi żelaznej, wiodącej do Chin, i od miasta Inkov, ważnej przystani morskiej w Chinach, zajmowanej przez Rossjan.)

Inkov, d. 17 maja. (Telegram Agencji Rosyjskiej.) Odchodzenie wojsk rosyjskich z miasta ukończone. Statek armat-

ni Siwuz, który stał na straży przystani morskiej, na razie jeszcze nie zniszczony. Zniszczenie go odłożono do jutra. Rossjanie odeszli w zupełnym porządku. Generał Kondratowicz ustąpił z ostatnim pułkiem.

Mukden (główne miasto w Mandżurji), 18 maja. (Telegram Agencji Rossyjskiej.) Obszar rossyjskich działań wojennych coraz bardziej zbliża się do Mukden. Japończycy oddaleni są od Rossjan na odległość bojową. Wojsko japońskie idące teraz trzema gromadami, znajduje się na północy od miast Fynhvanzeny i Siuanu. Słychać, że są jeszcze gromady tych wojsk dalej na północy, aby okrążyć stanowiska rossyjskie. Bitwy stanowczej nie było. Port Artura zupełnie jest odobniony. Na północy od Laojanu do Mukdenu kraj jest równy, poprzecinany tylko rzekami. Było sucho i gorąco, ale teraz spadły deszcze, i drogi stały się niemożliwe do przebycia. W czerwcu nastanie w Mandżurji pora deszczów, która uczyni wojnę prawie niemożliwą. Teraz Mukden jest głównym miejscem szpitali dla rannych ze wszystkich bitew na południu od gór Motjeńskich. (Przez te góry Motjeńskie idzie droga z Fynhvanzeny do Laojanu niedaleko od Tunjuanlu, miasta naznaczonego w Gazecie 1215. Tu Rossjanie podobno zamierzali powstrzymać pochód Japończyków i spodziewano się większej bitwy. Japończycy jednak to miejsce omijają, idąc innymi drogami, południową i północną stroną od tych gór.)

Tokjo (w Japonji), d. 17. Japończycy, rozpoczynając oblężenie Portu Artura, potrzebują jak najbliżej od niego mieć wolny przystęp z morza do lądu. Ale we wszystkich dogodniejszych do przystawania przy bżegu miejscach Rossjanie pozakładali buchadła podwodne. Japończycy więc wzięli się do bardzo zmuśnych poszukiwań i niszczenia tych buchadeł. Trzy ich statki wojenne większe i dwie łodzie buchadłowe rozpoczęły tę niebezpieczną bardzo robotę dnia 12 maja w zatoce zwaną Ker (gdzie jest ta zatoka, zobacz w Gazecie 1212 na rysunku). Strzały armatnie ze statku „Mjako” zmusiły wojsko rossyjskie do odejścia od bżegu. Kilku Japończyków wysiadło na ląd i przecięło telegraf, a potem rozbito odnalezione trzy buchadła podwodne. Ale wybuch czwartego buchadła rozbił łódź buchadłową, która zatonała po siedmiu minutach. Siedmiu ludzi na niej zginęło, siedmiu zaś zostało rannych. Na trzeci dzień potem, dnia 14 maja, przystąpiono do dalszej roboty w tejże zatoce. Szła ona jeszcze trudniej, bo wojsko rossyjskie umieszczało się w okopach na najbliższym bżegu nie dając się ztamtąd odpedzić, i waliło wciąż z armat i karabinów. Mimo to zdołano jeszcze pięć buchadeł odnaleźć i zniszczyć. Wtém wybuchło szóste pod statkiem „Mjako”, i mały ten okręt wojenny w 20 minut zatonał. Ludzi z niego uratowano, ale sześciu było rannych, a dwóch zostało zabitych strzałami rossyjskimi z bżegu.

— D. 17. W mieście Tokju, stolicy Japonji, odbył się wiec Japończyków. Tysiące zgromadzonego ludu radziły o tém, żeby przyjąć wiarę chześcijańską i pogodzić z jęj zasadami te wyznania, do których Japończycy są już zdawną dawną przywiązani. W zgromadzeniu tém brali też udział i misjonarze chześcijańscy, zwłaszcza z Ameryki. Uchwalono ogłosić, że wojna wynikła i prowadzi się nie zpo-

wodu różnicy wiary, ani różnicy pochodzenia, tylko dla zabezpieczenia na przyszłość pokoju na dalekim wschodzie, sprawiedliwości, ludzkości i oświaty. Rząd japoński myśli też o zaprowadzeniu chześcijaństwa.

Z Austrii. Wiedeń, d. 15. Cesarz austriacki Franciszek Józef i jego ministrowie od spraw zagranicznych i wojskowych zaczęli nagle żądać i nalegać, aby sejmy austriacki i węgierski udzieliły około 140 czy 150 milionów rubli na powiększenie wojennych sił Austrii na lądzie i na morzu. Za najpilniejszą rzecz uważają oni sprawienie nowych statków buchalowych, których znaczenie wykazała terażniejsza wojna, i statków podwodnych. Ludzie domyślają się, iż Austrija przewiduje jakąś niebezpieczną dla siebie wojnę.

Z Serbji. Nisz, d. 15. W mieście serbskim Niszu odbył się w sobotę zjazd i narada księcia bułgarskiego Ferdynanda z królem serbskim Piotrem, którzy poraz pierwszy ze sobą się spotkali. Towarzyszyli im też główniejsi ministrowie obu krajów. Choć widzenie się trwało ledwo parę godzin, ludzie jednak mówią, że stanęła między Bułgarią i Serbią umowa o przymierze i wzajemne wspomaganie się w razie wojny.

Z Chorwacji (słowiańskiego kraju w cesarstwie austriackim). *Zagrzeb, d. 13.* Zmarł największy w tych czasach pisarz chorwacki, Kumicić.

Z Turcji. Salonika, d. 15. W mieście Seresie w Macedonii doszło do bójki między Bułgarami a Grekami. Jedni do drugich strzelali. Jeden Grek i czterej Bułgazy zostali zabici.

W Armenji, w Turcji azjatyckiej, Ormianie powstają. Rządy Rossji, Anglii i Francji starają się ich od tego powstrzymać.

Z Anglii. Londyn, d. 16. W Anglii niepokój o losy wypływu wojennej posłańej do Tybetu. Teraz bowiem, po nowej strzelaninie pod miastem Gjansem okazało się, że Tybetanie mają i armaty dobre, i najlepsze strzelby z Europy sprowadzone. A poszło wojować z nimi wojsko bardzo nieliczne.

Z Ameryki. Nowy-Jork, d. 14. Okropny wypadek wydarzył się w kopalni węgla kamiennego „Lerries” w krainie Illinois. Zapaliło się i wybuchło 50 beczek prochu. Podziemie kopalni zawałiło się i pogrzebało żywcem 325 pracujących w niem ludzi. Niewiele dotąd zwłok odnaleziono. Poszukiwania trwają.

Ofiary.

Na kościół na Jasnój-Górze w Częstochowie:

Stanisław Bełzek z Teplika 1 rubel.
Władysław Gruszyk z Ostrowa 25 k., Antoni Gruszyk 20 k., Franciszek Gruszyk 20 k., Jan Maleszyk 20 k., Piotr Zyglewicz 10 k., Stanisław Zyglewicz 10 k., Andrzej Kowalczyk 20 k., Józef Bernacki 5 k., Józef Gruszyk 10 k., Piotr Gruszyk 20 k., Szymon Maksimiuk 20 k., Jan Szyska 10 k., Józef Szyska 12 k., Franciszek Domański 20 k., Kazimierz Domański 15 k., Szymon Maleszyk 15 k., Wojciech Piasta 20 k., Aleksander Maleszyk 10 k., Antoni Gruszyk 15 k., Antoni Kalisz 10 k., Jan Walkiewicz 15 k., Józef Kalisz 10 k., Michał Drozd 5 k., Józefa Maleszykówna 10 k., Szymon Drozd 5 k., Antoni Kulik 30 k., Jan Gruszyk 20 k., Jan Drozd 10 k., Józefa Maleszykówna 15 k., Aleksander Maleszyk 5 k., Jan Świrszczyński 10 k., Józef Borysik 4 k., Katarzyna Drozdowa 10 k., Anastazja Maleszykówna 10 k., Jan Włas 10 k., Józef Monist 20 k., Antonina Markiewiczowa 5 k., Piotr Domański 3 k., Franciszek Siemieński 10 k.,

Stanisław Markiewicz 6 k., Michał Czeberak 2 k., Józef Błażewicz 5 k., Franciszka Gruszyk 5 k., Marjanna Gruszykówna 15 k., Wojciech Kalisz 20 k., Franciszek Maleszyk 10 k., Adam Drozd 10 k., Stanisław Maleszyk 10 k., Jan Kudcewicz 5 k., Jan Walkiewicz 10 k., Jan Adamski 10 k., Wincenty Telebski 10 k., Ignacy Musik 10 k., Antoni Zarobski 20 k., Józef Łabęcki 8 k., Kazimierz Kulik 15 k., Józef Maleszyk 5 k., Marjanna Maleszyk 3 k., Franciszek Czubański 1 r., Rozalja Zarmolińska 9 k., Damian Drozd 10 k., Jacenty Drozd 10 k., Zofja Kwiatkowska 5 k., Marcin Lepiński 5 k., Karol Domański 20 k., Rozalja Drozd 10 k., Piotr Gruszyk 15 k., Gzregor Latkowski 15 k., Wojciech Korol 10 k., Antoni Domaszewski 20 k., Antoni Korol 10 k., Mikołaj Lato 10 k., bezimiennie 1 r. 45 k., Szymon Maksimiuk 13 k.—Łącznie z Ostrowa 11 rubli.

Razem 12 rubli.

Z dawniejszemi zaś, za pośrednictwem Gazety Świątecznej złożono 17363 r. 57 k.

Na budowę kościoła Zbawiciela w Warszawie:

Ludwik Wojz z Wojzy 1 r. 50 k.
Faustyn Jasiński z Portu Artura 9 k.

Razem 1 r. 59 k.

Ze złożonemi zaś poprzednio 219 r. 81½ k.

Na chleb dla ubogich dzieci Ś-go Antoniego:
Stanisław Kozłowski z Pskowa 50 k.
Izabela Kryńska z Renowa z prośbą o modlitwę za duszę Piotra 2 ruble.
Od osoby niewiadomej 2 ruble.
Na kaplicę Matki Boskiej Nieustającej Pomocy:
Stanisław Bełzek z Teplika 50 k.
Na ubogie kaleki:
Kacper Stażyk z Władystowostoku 2 ruble.
Na leki dla chorób na nogi:
Kacper Stażyk z Władystowostoku 2 ruble.
Na sieroty pod opieką starej babki zagrożonej ślepotą:
Kacper Stażyk z Władystowostoku 3 ruble.
Na chorych w szpitalu:
Kacper Stażyk z Władystowostoku 3 ruble.
Na najuboższych:
Kacper Stażyk z Władystowostoku 3 r.
Gzregor Widort z Korowic 55 k.
Dla wdowy z dziećmi w Szejkierkach, której mąż utonął w czasie powodzi:
Kacper Stażyk z Władystowostoku 1 r. 50 k.
T. L. 50 k.
Bezimiennie z kopalni Łagisza 68 k.
Pietrowowa z Pawłowska pozostała z rachunku 11 k.
Dla ubogich na wsi:
Kacper Stażyk z Władystowostoku 3 ruble.

Ś. p. WAWRZYNIEC GOŁĘBIOWSKI,

opatrzony Św. Sakramentami, zmarł po niedługiej chorobie w miasteczku Siedliszcu dnia 27-go kwietnia. Żył 70 lat. Pozostawił żonę, 6 dzieci, 11 wnuków i 2 prawnuków. Upraszam współczelników o westchnienie do Boga za jego duszę.
Syn Stefan Gołębiowski.

Odpowiedzi Pisarza Gazety Świątecznej.

P. Antoniemu W. w Mo. Na wiadome pytanie odpowiedzi stanowczej, „tak” lub „nie”, dać niemożna, bo sprawa dość zagmatwana i może łatwo dawać powód do sporów. Zmuszać do kontraktu tego, kto go nie chce zawierać, trudno, najęściej niemożna wcale. Najwłaściwiej zatem nie poczynać żadnych kroków zaczepnych, tylko zachowywać się wyczekująco i bronić się w miarę potrzeby. Za podstawę obrony służą: 1) dokument wydany przez plenipotenta, 2) rzeczywiste istnienie domu i uzędu w miejscu przez dokument ów określonym, 3) dotychczasowe milczenie właściciela gruntu, 4) długość czasu, 5) niedawne wystawienie domu nowego zamiast starego i na tenże cel, co stary, czemu właściciel ziemi się nie spreciwił. Gmina ta korzysta ze służebności, która przez to wszystko, a szczególnie przez przedawnienie uprawomocniła się. Pewne wątpliwości zachodzić mogą tylko ztąd, że właściciel majątku nie jest właścicielem zwykłym, ale posiada go wskutek praw wyjątkowych, niema więc pewności, jak na tę sprawę zapatrywałyby się sądy w razie, gdyby ją przed nie wytoczono. W razie gdyby do tego przyszło, należy obrać dobrego obrońcę prawnego. — Na pytanie gospodarskie odpowiedź damy później.

Na stronicach dodanych, 9 i 10, dzisiejszej Gazety mieszczą się:

ciąg dalszy odpowiedzi Pisarza G. Ś. — Zagadka. — Nowe książki. — Ceny targowe. — Ogłoszenia.